

Kultura

„Homo Polonicus”, reż. Witold Mazurkiewicz i Janusz Opryński

Wesele bez wesela

Widma krążą nad polską sceną, widma złej przeszłości. Straszą portrety trumienne Sarmatów, generał w ciemnych okularach broni zdobyczy socjalizmu, zaś Chochół znowu pyta: kto mnie wołał, czego chciał? I tylko z odpowiedzią na te jego pytania są pewne kłopoty.

ZDZISŁAW PIETRASIK



„Sarmacja”, reż. Krzysztof Babicki

Zastanawiające, dlaczego akurat teraz autorzy zwracają się ku przeszłości. Czy to spóźniona – procesy twórcze będącymi swoimi naturalnym rytmem – reakcja na tzw. politykę historyczną uprawianą przez poprzednią władzę? Tak, to bardzo prawdopodobne, ale powody mogą być jeszcze inne. Rządy się zmieniają, nie zmienia się jednak poczucie, że demokracja w praktyce wciąż niezbyt nam się udaje. W każdym razie w marzeniach o suwerennej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wszystko wyglądało pięknie. „A tu pospolitość skrzeczy... włoży w usta, w uszy, oczy”. Wystarczy zobaczyć w telewizji dowolny program publicystyczny z udziałem posłów reprezentujących wrogie obozy, „jak

się kłóć, jak się łąć”. Może powinni raczej stawiać do pojedynku z użyciem broni białej bądź palnej? A do tego jeszcze afery i śledztwa oraz niedawny pomysł totalnej lustracji, której założeniem wyjściowym było przecież przekonanie, że nie każdy, kto traktowany jest jako bohater czy autorytet, jest nim w istocie. Projekt w wersji rozszerzonej upadł, ale coś z aury ogólnej podejrzliwości pozostało.

Same cytaty

Krótko mówiąc, znowu przestaliśmy się sobie podobać. Powraca uczucie déjà vu, gdzieś już to widzieliśmy: te same gęby, te same swary. Pewnie dlatego przypominają się czasem śpiewne strofy Wyspiańskiego. Nawet posłowie potrafią przecie-

czasem napomknąć coś o sznurze, który jeno pozostał, albo o chocholim tańcu. Co przypomina anegdotę o człowieku, który wybrał się po raz pierwszy na „Wesele”, lecz po przedstawieniu był bardzo rozczarowany: Co to za sztuka? Same cytaty! Dzisiaj znowu bardzo aktualne cytaty, skoro na zakończonych niedawno Warszawskich Spotkaniach Teatralnych zobaczyliśmy dwie nowe inscenizacje „Wesela” – obydwie z ambicją pokazania całej prawdy o współczesnych Polakach.

Na planie „Wesela” Jerzy Pilch wznosi konstrukcję swej nowej powieści „Marsz Polonia”, której większość bohaterów maszeruje równym krokiem wstecz. Można się albo przyłączyć, albo zwiewać, gdzie oczy poniosą. Biedni poloniści, którzy pój-
© TEATR IM. OSTĘP W LUBLINIE

swą klasą na któreś z „Wesel” wystawionych na potrzeby nowych czasów. Już po paru scenach zorientują się, że lekcje poświęcone arcydramatowi to był czas stracony. Gdzie te barwy, pawie pióra, skoczna muzyka, polska szopka w całej okazałości? Nic z tych rzeczy. Nawet niektóre główne postacie trudno na scenie rozpoznać. Na przykład gdzie się podział Wernyhora, dziad z lirą?

Chochół jest kobietą

W inscenizacji Michała Zadary w teatrze STU jest to zaciągający z ruska facecik, przypominający ukraińskiego przygranicznego handlarza, który powtarza „Pomówimy o przymierzu”, a złoty róg przynosi w reklamówce, gdzie znajdują się też inne, nie mniej ważne rekwizyty – pomarańcza oraz puszka piwa. Na pytanie Gospodara, czy na pewno mobilizacja ma nastąpić jutro, odpowiada: „Jutro, jutro”, ale tak od niechcenia, jakby z góry wiedział, jak wszystko się zakończy.

Z kolei w „Weselu” wyreżyserowanym przez Annę Augustynowicz w szczecińskim Teatrze Współczesnym Wernyhore gra kobieta, występująca gościnnie aktorka stołecznego Studia Irena Jun. Czy miałoby to zatem oznaczać, że weselnicy czekają na ważną wiadomość z Warszawy? Trudno odgadnąć. Prawdę mówiąc, ów Wernyhora z odmienioną płcią sprawiał mi poważne

kłopoty interpretacyjne, niemniej zakładam, że pani Augustynowicz chciała w ten sposób powiedzieć coś bardzo ważnego.

W szczecińskim „Weselu” kobieta gra również Chochół, który pojawia się już w pierwszej odsłonie. To od jego kwestii: „Co się komu w duszy gra, co kto w swoich widzi snach...”, zaczyna się spektakl, któremu on później przygląda się, przechadzając się po widowni, by w odpowiednim momencie ponownie wejść na scenę. A tam odbywa się wesele, nie-wesele, tańce przypominają bowiem raczej zrytmizowane figury gimnastyczne niż zwyczajowe obertasy i krakowiaki. Wszyscy goście, bez względu, skąd się wywodzą, noszą czarne, całkiem współczesne kostiumy – mężczyźni tiszerty, kobiety skromnie skrojone suknie. Tworzą zatem tłum jednorodny i bezbarwny. Gdyby wymienili się kwestiami, widz mógłby tego nawet nie zauważyć. Zero emocji. W przeszłości zdarzały się „Wesela” bez muzyki (inscenizacja Kazimierza Dejmka z lat 80.), ale „Wesele” bez wesela to zupełna nowość.

Michał Zadara potraktował Wyspiańskiego jeszcze bardziej dowolnie. Tylko osiem postaci, oczywiście w kostiumach jak najbardziej współczesnych, spotyka się na imprezie organizowanej zapewne w jakimś modnym krakowskim lokalu. Z tym że akcja toczy się na zapleczu, ściślej zaś

– w rozległej łazience. Tu wpadają na chwilę goście, by prowadzić chaotyczne rozmowy „przez pół drzwi, przez pół serio”, ale raczej drwiąco. Na umieszczonych na ścianie monitorach mamy zaś podgląd na salę weselną, gdzie zresztą nie dzieje się nic ciekawego, oraz na WC, dokąd udają się weselnicy w potrzebach różnych. Atrakcji mogło więc być znacznie więcej, na co słusznie zwrócił uwagę krytyk Tomasz Miłkowski w „Przeglądzie”: „Weryzm sytuacji jest jednak (na szczęście) pozorny, aktorzy tylko sugerują czynności fizjologiczne, tylko udają, że ćpają lub wydalają...”. Ale kolejny zdolny inscenizator może pójść znacznie dalej.

Piotr Cieplak swe ubiegłoroczne „Wesele” w warszawskim Teatrze Powszechnym, zatytułowane zresztą ironicznie „Albośmy to jacy tacy”, kończył epilogiem czytany „zza kadru”, opowiadającym dalsze losy stworzonych przez Wyspiańskiego bohaterów. Niektórzy dożyli Polski Ludowej i wzięli udział w zupełnie nowych obrzędach. Zadara zdaje się iść jeszcze dalej: jego weselnicy to przecież całkiem dzisiejsze japiszony, pewnie są wśród nich pracownicy wielkich korporacji, osiągający właśnie szczyty zawodowej kariery. A jednak pogubieni, przetrąceni, strojący jedynie miny zwycięzców. Tylko jak w ich ustach brzmią wierszowane strofy „Wesela”? Na pewno efektownie, co nie znaczy, że wiarygodnie. ►

► Mecz Wieży Babel z Arką Noego

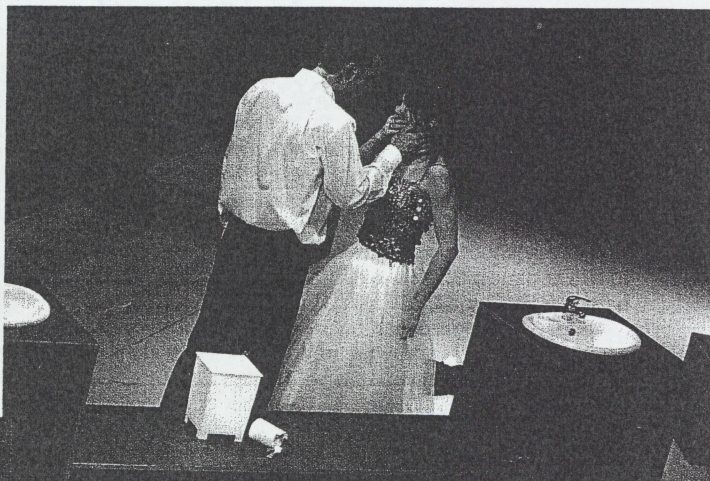
W powieści Pilcha nie ma wprawdzie wesela, lecz jest raut, płynnie przechodzący w orgię, którego organizatorem jest Beniamin Bezece, zwany przez rodaków Szatanem, postać bez najmniejszych wątpliwości wzorowana na osobie Jerzego Urbana. Pozostali bohaterowie też mają swoje pierwowzory, co średnio rozgarnięty czytelnik odkryje bez najmniejszego trudu. Sam autor obsadził się zaś w narzucającej się roli poety, obchodzącego akurat urodziny. Czas akcji nie jest przypadkowy: 15 sierpnia, czyli rocznica cudu nad Wisłą, obecnie Dzień Wojska

tam też bardziej zwyczajne eksponaty: „guziki, paski, pagony, chlebaki, kilka sutann, dwie czaszki z odpowiednimi otworami – w sumie nic wielkiego”. Ów komentarz „nic wielkiego” pochodzi od Bezece, który stworzył całe to ogromne panoptikum z myślą o gościach – „żeby Polakom, którzy u niego bywali, było wygodnie”.

Prawdziwa Polska jest jednak gdzie indziej, chociaż wcale nie tak daleko. „Sąsiaduję z Polską” – powiada Bezece, mając na myśli osadę zamieszkaną przez niejakich Kowalewiczów, stary ród kowali, których narzędzia pracy są zarazem młotami na Żydów i wszelkich odszczepieńców od jedynie słusznej prastłowiańskiej tradycji. Nic dziwnego, że między tymi dwoma

niewierani, i tylko naiwni mogą udawać niewinnych. Jeśli chodzi o siłę artyleryjską ostrzału polskich odwiecznych przywar, Pilch w niczym nie ustępuje Wyspiańskiemu. Różnica jest tylko taka, że po tamtym „Weselu” wszyscy opisani się poobrażali, co tym razem raczej nie nastąpi. Co jednak nie jest tylko winą pisarza.

Trochę podobnie jak u Pilcha wygląda polska kotłownia w spektaklu autorstwa Pawła Demirskiego i Moniki Strzępki „Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł”, wystawionym niedawno w wrocławskim Teatrze Dramatycznym. Głównym elementem scenografii jest tu bramka ściągnięta z boiska piłkarskiego, na tle której w błotku (dosłownie!) taplają się rozmaite typy polskie,



„Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł”, reż. Monika Strzępka

„Wesele” w adaptacji i reżyserii Michała Zadary

Polskiego oraz katolickie święto Matki Boskiej Zielnej, z elementami pogańskich pozostałości. Nie można wykluczyć, że wszystko działo się w ubiegłym roku, więc gdyby narrator pozostał w stolicy, mógłby przyglądać się popisom naszej armii, a nawet zobaczyć prezydenta jadącego odkrytym samochodem w asyście ułanów.

On jednak przyjął zaproszenie od Szatana, podobnie resztą jak wielu innych znakomych gości, reprezentujących różne stany, zawody, zapatrywania polityczne i seksualne. „Bywanie u Szatana, które wprawdzie uchodziło za hańbę, stopniowo zaczęło uchodzić za świadectwo pozbawionej uprzedzeń odwagi”. Nasz poeta spotka tam zarówno generała Jaruzelskiego, jak i Zagubioną Legendę Solidarności, Ostatniego I Sekretarza PZPR, ale też księdza Stollo (wypisz, wymaluj ks. Tischner), zatwardziałego komunistę ekstremistę, lecz również Matkę Polkę, która we właściwym czasie zrobi striptiz. Nie licząc pospólstwa w osobach górników, hutników itp.

Nawet postaci z narodowej mitologii (jak ks. Jerzy Popiełuszko), o których sądziliśmy, że pomarli, żyją albo prawie-żyją jako półtrup w imponującej kolekcji Szatana. Są

obozami iskrzy i lada chwila może dojść do walki wręcz. Od czego jednak jest futbol, jak nie od prowadzenia zastępczych wojen? Na boisku stają więc przeciwko sobie dwie drużyny: Wieża Babel (z Bezece-Urbane) i Arka Noego reprezentująca rdzenny polski zaścianek.

Narrator gra, choć niezbyt długo, w koszulce Wieży Babel, lecz najwyraźniej traci zainteresowanie pojedyńkiem. Zmęczył go mecz, ale też cała „sprawa polska”, o którą w tej grze w istocie chodzi. Ucieka z pola bitwy, by udać się z pomocą troskliwej fiakierki na emigrację do Czarnogóry. Dlaczego akurat tam? Bo ma powody osobiste (zarówno narrator, jak i sam autor, o czym nie każdy czytelnik musi wiedzieć).

W streszczeniu brzmi to tak sobie, najmniej pole do możliwych interpretacji ma tu wielkość przynajmniej kilku boisk piłkarskich. Oto jedna z możliwych: Polska dzisiejsza to kraj, w którym nie można serio traktować żadnego sporu o polskość, ponieważ autorytety się wyczerpały, symbole straciły znaczenie, zaś heroiczna przeszłość, także ta niedawna, nie ma najmniejszego związku z teraźniejszością. Wszyscy dorośli obywatele są podobnie unurzani i spo-

m.in. generał w ciemnych okularach, który broni zdobyczy socjalizmu, biskup z obłódnym uśmiechem pedofila, kibol łódzkiego Widzewa, gwiazdeczka w welonie panny młodej, dwie niewiasty z wojenną przeszłością, jedna żywa, druga martwa, ale jakie to ma znaczenie, kiedy obie są trupami? Wszyscy są tutaj żywymi trupami, co sugeruje prolog, w którym wylazą z foliowych worów, w jakie pakuje się zmarłych.

Czy coś wynika z tej gry do jednej bramki? Raczej niewiele, ale częste śmiechy na widowni (także podczas występów w Warszawie) świadczą, iż taki właśnie sposób pokazywania polskich tematów ma dzisiaj duże wzięcie.

Dance macabre

Może zatem należałoby sięgnąć dalej i głębiej, zastanowić się, dlaczego jesteśmy dzisiaj tacy, jacy jesteśmy? Proszę bardzo, nasi twórcy są w stanie odpowiedzieć także na tego rodzaju pytania. W zeszłym weekend w Warszawie wystąpiła sławna Kompania Teatr/Provisorium z przedstawieniem „Homo Polonicus”, które, jak głoszono tuż po premierze, stanowi „anatomię polskości”. Cóż mianowicie ogląda-

my na scenie, a co wcześniej znalazło się w powieści częstochowskiego nauczyciela Krystiana Piwowarskiego, wydanej 6 lat temu w nakładzie 300 egzemplarzy? Akcja toczy się leniwie w XIX-wiecznym majątku, którego posiadacz Xiążę Stanisławczyk pragnąłby być królem Polski. Wówczas dopiero mógłby się na wszystkich odegrać! Stanisławczyk to indywiduum mało sympatyczne, ignorant, nie mający pojęcia ani o literaturze, ani o uprawie roli, przy tym tchórz kolaborujący z zaborcą. Jest on jednocześnie wcieleniem wszystkich możliwych wad narodowych: ksenofobii, oportunizmu i kultu przeszłości, objawiającego się chęcią posiadania pamiątek po królach, które mu dostarcza Żyd, handlarz starzyzną.

Stanisławczyk, jak pisał Roman Pawłowski w „Gazecie Wyborczej”, to „model przodka uniwersalnego... Oto ten, od którego się wywodzimy, oto nasz praszczur”. Żeby nie było wątpliwości, w scenicznej adaptacji odrzucony został kostium historyczny – przyglądajcie się zatem uważnie, kogo wam Xiążę, ów sarmacki król Ubu, przypomina?

Jeszcze dalej w przeszłość zagłębił się Paweł Huelle, którego sztuka „Sarmacja” została właśnie wystawiona w lubelskim Teatrze im. Osterwy. Sam autor powiedział o niej, iż to „rodzaj fantazji scenicznej na tematy historyczne”. Sztuka toczy się w umownej Sarmacji, najprawdopodobniej w XVIII w., jej tworzywem są zaś ówczesne diariusze sejmowe, które Huelle długo studiował (za co mu chwała, któremu jeszcze naszemu autorowi chce się grzebać w starych szpargałach?). Może to nie jest wcale tak wielkim odkryciem, ale sceny kłótni na sejmikach przypominają te dzisiejsze, kiedy zaś podnoszą się okrzyki: „Komisję powołać! Zdrada! Komisję powołać!”, można mieć wątpliwość, czy to jeszcze teatr, czy już rzeczywistość. W finale odbywa się wielkie pijaństwo, a polonez (jak nie „Wesele”, to „Pan Tadeusz”) przypomina dance macabre. Chciałoby się jeszcze tylko dodać komentarz – a dalej wszyscy żyli długo i szczęśliwie, aż do naszych czasów.

Dziękuję, nie tańczę

Od kogo zatem pochodzi współczesny Polak? Nasi twórcy raczej nie mają wątpliwości, że od Homo Polonicusa, który to termin brzmi dziwnie podobnie do Homo Sovieticus. Nie bez powodu zresztą, gdyż HP to też odrębna rasa ludzka, ukształtowana w określonych warunkach historycznych, społecznych i klimatycznych. Źle adaptująca się do nowych czasów, cały czas zapatrzona wstecz, nieustannie roztrząsająca grzechy przeszłości, ale jednocześnie na swój sposób z nich dumna. Czy można się wyrwać z tego chocholego kręgu inaczej, niż wybierając emigrację, jak to czyni bohater Pilcha? Albo ucieczkę jakąkolwiek, dokądkolwiek, jak to zrobili młodzi zako-

chani w oryginalnym filmowym „Weselu” Wojtki Smarzowskiego sprzed kilku lat? Chyba nie ma innej możliwości, albowiem widma przeszłości wciąż mamia i wciągają do polskiego kotła, w który wpada się na całą wieczność.

I wszystko jasne. Chyba że zaczniemy się zastanawiać, czy aby nasi artyści mimo wszystko trochę jednak nie ułatwiają sobie zadania. Muszę się przyznać, że takie właśnie myśli zaczęły mnie ostatnio nachodzić. A jak oni mówiliby dziś o Polsce, gdyby ponad sto lat temu Wyspiański nie napisał „Wesela”? Jak często można używać, z lepszym lub

gorszym skutkiem, tego samego wytrycha do otwierania polskich dusz i tego, co w nich gra? Obawiam się, niestety, że ostatnie „rozweselenie” polskiego teatru i literatury świadczy także o bezradności twórców wobec współczesnego tematu. Pomijając, że to przecież nieprawda, że nic się nie zmieniło, że jesteśmy tacy sami jak na początku XX w., czy wręcz w XVIII w., i „myśmy wszystko zapomnieli”. Coś tam jednak pamiętamy.

Tak czy inaczej, długo nie dam się zaprosić na kolejne „Wesele” krojone na miarę naszych czasów. Dziękuję, nie tańczę.

Zdzisław Pietrasik